

PARA

WYDANIE SPECJALNE

LUBLIN 1918-2018

INSPIRUJE NAS WOLNOŚĆ

18 X 2019
TEATRNN.PL/PARA

OSRODEK BRAMA GRODZKA
TEATR NN.PL

2

Kronika wrotkowskich przypadków

3

Unia dwóch kobiet

6

Wędrownik po architekturze szkół

7

Nasza Basiunia nie jest całkiem głupia

NAUCZYCIEL NA CAŁE ŻYCIE



Uczennice gimnazjum żeńskiego w dwudziestolecu międzywojennym [zbiory Eugenii Wachowskiej].

Opowieści są ważnym narzędziem budowania relacji między ludźmi. Chcąc nadać bezładnemu żywiołowi życia jakąś formę i głębszy sens powinniśmy opowiadać. Dopiero opowieść tworzy naszą niepowtarzalną tożsamość i indywidualność. Dlatego umiejętność opowiadania jest tak ważna. Stąd pomysł stworzenia przy Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN” Akademii Opowieści.

W tej edycji skupiliśmy się na nauczycielach. Dlaczego? Ponieważ są ważną częścią opowieści o 30 latach polskiej transformacji, rozpoczętej po wyborach 4 czerwca 1989 r.

To oni byli jednymi z cichych bohaterów tych zmian, to oni uczyli młodych ludzi, jak odnaleźć się w rodzącej się nowej i niełatwej rzeczywistości. W szkole odbijały się wszystkie zmiany, jakie zachodziły wtedy w Polsce.

To szkoła miała wielki udział w przygotowaniu swoich uczniów do spotkania ze współczesnym światem i niezagubienia się w nim.

Stąd realizowany w ramach kolejnej edycji Akademii Opowieści projekt „Nauczyciel na całe życie”, w ramach którego zbieraliśmy opowieści o nauczycielach, ale też opowieści samych nauczycieli. Bardzo szybko okazało się, że dostajemy również opowieści wykraczające poza ostatnie trzydziestolecie. Tak więc życie „rozsadziło” zamierzone ramy projektu. Głównym motywem większości tych opowieści jest to, jak ważne jest spotkanie tego „swojego belfra”, nauczyciela, który pozwolił nam uwierzyć w siebie, czy też dał nam coś, dzięki czemu w naszych życiowych wyborach jesteśmy po „jasnej stronie mocy”.

Tomasz Pietrasiewicz

PROGRAM FINAŁU TEGOROCZNEJ EDYCJI „AKADEMII OPowieści” 18 PAŹDZIERNIKA 2019 ROKU, OSRODEK „BRAMA GRODZKA – TEATR NN”

DZWONEK I: 17.00

„NAUCZYCIEL NA CAŁE ŻYCIE” – SPOTKANIE DEDYKOWANE LUBELSKIM NAUCZYCIELOM:

- reportaż Katarzyny Michalak o Beacie Nowak, rozmowa z Katarzyną Michalak
- prezentacja okolicznościowego wydania gazety PA.RA, rozmowa z Joanną Żętar
- wręczenie podziękowań nauczycielom, prowadzenie: Anna Duda
- przerwa kawowa

DZWONEK II: 18.30

GALA AKADEMII OPowieści – „NAUCZYCIEL NA CAŁE ŻYCIE”:

- występ artystyczny prezentujący zwycięską opowieść, z udziałem Ludomira Franczaka i Marcina Dymitera
- wręczenie nagród laureatom konkursu, prowadzenie: Anna Duda

DZWONEK III: 20.00

- toast w restauracji Szeroka

KRONIKA WROTKOWSKICH PRZYPADKÓW

Dzieci uczyły się konsekwencji uprawiając ogródek. Miały własne grządki i odpowiadały za nie nawet w wakacje. Metody dawno temu stosowane w niewielkiej szkole we wsi Wrotków do dziś są podstawą amerykańskiego systemu edukacji. Nielatwe początki podstawówki nr 30 opisuje zachowana kronika założona w 1872 r.

Szkola Podstawowa nr 30 przy ul. Nałkowskich w Lublinie mieści się w typowym gmachu z lat 70. XX w. Na tle podobnych lubelskich podstawówek, wyróżnia go jedynie basen. Do dziś jednak zachował się, nieco przypominający dworek ziemiański, budynek „starej szkoły”, do którego uczęszczało jeszcze pokolenie obecnych trzydziestoparolatków (dzisiaj jest tam Środowiskowy Dom Samopomocy). A niesamowitą historię tego miejsca opowiada zachowana kronika szkoły, prowadzona od XIX w. Z książki wyłania się obraz wiejskiej szkółki ze skromnym budżetem, w której dzieci uczyły się zgodnie z najnowszymi trendami pedagogiki światowej.

KARY CIELESNE I LEKCJE NA STOJĄCO

Kronikę założono w 1872 r., by służyła do zapisywania uwag carskiego wizytatora. Szkoła powstała nieco wcześniej – w 1866 r. na mocy ukazu carskiego, który nakazywał zakładanie szkół wiejskich. Była to w tym czasie obowiązująca tendencja europejska. Od początku XIX w. rodziło się szkolnictwo podstawowe na całym świecie, również w państwach zaborskich. Ich celem było jednak nie tylko podniesienie poziomu wiedzy społeczeństwa – miały kształcić posłusznych państw poddanych.

System 45-minutowych lekcji, dzwonek, ocen, kar, także cielesnych, po raz pierwszy wdrożono w Prusach, w czasie panowania władcy absolutnego Fryderyka Wilhelma I. Carski system oparto na podobnych zasadach. W zaborze rosyjskim, czyli także w Lublinie i podlubelskim Wrotkowie, od lat 80. XIX w. nauka odbywała się w języku rosyjskim, który był niezrozumiały dla większości polskich uczniów. W związku z tym, część wrotkowskiej kroniki szkolnej, pochodząca z XIX w., zawiera wyłącznie krytyczne uwagi wizytatora. Informuje on o słabej frekwencji, braku postępów w przyswajaniu wiedzy, braku oświetlenia i wilgoci w wynajmowanej izbie szkolnej. Rodzice – okoliczni włościanie – widzieli w szkole jedynie czynnik opresyjny, który odciąga dzieci od prac w gospodarstwie i narzuca obcy język. Zapisanych było dwadzieścioro dzieci, a nauka odbywała się w pomieszczeniu pozbawionym mebli i wszelkich udogodnień. Dzieci uczyły się na stojąco. Edukacja trwała dwa lata. Program obejmował język rosyjski, polski w zakresie czytania i pisanie, arytmetykę i roboty ręczne. W drugiej klasie dochodziły przyroda, geografia, historia i śpiew.

DRZEWKA ROSNĄ DO DZIS

Początek XX w., a szczególnie rewolucyjny rok 1905 r., przyniósł powiew nadziei na zmianę sytuacji Polski. Reżym zaborczy słabł, ruchy ludowe rosły w siłę, włączając do swoich postulatów myślenie niepodległościowe. W 1902 r. carskie władze szkolne zarządziły zbiórki na budowę siedziby szkoły na Wrotkowie, ponieważ lekcje wciąż odbywały się w wynajmowanej izbie. Obowiązkiem składkowym obciążeni zostali mieszkańcy wsi Wrotków, w tym również przemysłowcy, mający swoje zakłady na jej gruntach. Wysokość składki zależała od ilości posiadanej ziemi, w związku z tym znaczące sumy wpłacili między innymi: Emil Plage – właściciel rektyfikacji spirytusu i krochmalni przy dzisiejszej ulicy Krochmalnej oraz zarząd cukrowni.

Parterowy budynek szkoły stanął w 1906 r. Budowniczym i kierownikiem placówki został Kazimierz Marculewicz, absolwent rosyjskiego seminarium nauczycielskiego. Pełnił tę funkcję, z krótką przerwą, aż do 1925 r.

Atmosfera niepodległościowa narastała wraz ze zbliżającą się wojną. Kiedy ulani Beliny-Prażmowskiego w 1915 r. przejęli klucze do magistratu lubelskiego, wybuchła euforia. Mimo że już za chwilę władzę w mieście przejęli Austriacy, od tego momentu kronika szkolna była prowadzona po polsku. Pierwszą polską stroną tytułową kroniki, kaligraficznymi literami wypisała nowa kierowniczka szkoły – Zofia Miklaszewska, powołana za zgodą rady szkolnej i miejscowych gospodarzy. Była absolwentką rosyjskiego Rządowego Gimnazjum w Lublinie. Początki szkoły w nowej rzeczywistości nie były łatwe. Do placówki uczęszczało 130 dzieci, które uczyły się w trzech oddziałach. Kierowniczka, a zarazem jedyna siła pedagogiczna, nie otrzymywała pensji. Początkowo, po prostu, od każdego dziecka pobierała 1,5 rubla. Drewno na opał dostarczali gospodarze, a naftę do oświetlenia izb szkolnych kupowała sama. Od 1916 r. zaczęto wypłacać jej pensję w wysokości 100 koron miesięcznie i przyznano trzy sągi drewna opałowego, 20 funtów mąki, cztery funty cukru, naftę oraz



Fotografia ze starej kroniki szkoły we Wrotkowie (obecnie Szkoła Podstawowa nr 30 w Lublinie); rok szkolny 1935/36.

15 koron na prowadzenie kancelarii. Zamieszkiwała w jednej z izb w szkole. Dzieci uczyły się na zmiany: rano chłopcy, po południu dziewczynki. Do końca pierwszego roku nauki, już w niepodległej Polsce, dotrwało jedynie 25 uczniów. Miklaszewska przeprowadziła akcję sadzenia drzewek w ogródku szkolnym. Pracę nadzorował ogrodnik, niejaki Stodulski. Dzień Sadzenia Drzew stał się później tradycją szkolną. Przez cały okres międzywojenny uczniowie z wrotkowskiej szkoły wiosną sadzili drzewa w okolicy. W 1935 r.: 465 lip wzdłuż drogi ze wsi Dziesiąta do lasu Dąbrowa, czyli dzisiejszej ulicy Zemborzyckiej. Całą akcję wspierali okoliczni gospodarze, sołtysi z Wrotkowa i Majdanu oraz wójt Zemborzyca. Część z posadzonych wtedy drzew rośnie do dziś.

POLE DO NAUKI KONSEKWENCJI

Zanim jednak dzieci, ich rodzice i cała społeczność lokalna, zostali zaangażowani w życie szkoły i z ochotą włączali się w takie akcje, nauczyciele musieli włożyć ogromny trud w to, by rodzice zmienili myślenie o potrzebie edukacji. Główny opór wciąż budziło odrzywanie dzieci od pracy w polu i gospodarce. Część rodziców uważała chodzenie do szkoły za stratę czasu, toteż organizacja roku szkolnego przewidywała na przykład tzw. ferie ziemniaczane w czasie wykopków. Do dobrej frekwencji zachęcał nawet ksiądz z ambony. W przypadku nieobecności rodzice musieli tłumaczyć się przed komisją szkolną, która mogła nałożyć na rodziców kary. Na przykład w 1934 roku grzywna sięgała 1–5 zł, z możliwością zamiany na jeden lub dwa dni aresztu. W Archiwum Państwowym w Lublinie zachowały się wykazy nieobecności wraz z opisami ich przyczyn, podawanymi przez rodziców. Powodem absencji bywała choroba, duża odległość od szkoły, bieda, konieczność pomocy w gospodarstwie, brak butów. Jeden z rodziców jako przyczynę podał okoliczność, że „nie chce chodzić – trudno zmusić”. Pieniądze z grzywny nakładanych na rodziców przeznaczano na podręczniki, odzież i obuwie dla biednych dzieci.

Dzieci uczyły się oszczędzania poprzez przynależność do Szkolnej Kasy Oszczędności. Poznawały w ten sposób prawa ekonomii i wolnego rynku. Pedagogzy ze szkoły we wsi Wrotków posługiwali się najnowocześniejszymi wówczas metodami wywodzącymi się z „pedagogiki pracy”, której podwaliny sformułował John Dewey. Jego teoria stała się podstawą amerykańskiego systemu edukacji. Kładła nacisk na naukę na przykładach i poprzez doświadczenie, wykorzystując naturalną ciekawość dziecka. W tym systemie szkoła miała być załącznikiem społeczeństwa, a uczeń zachęcany do samodzielnego poszukiwania rozwiązań. Dowodem znajomości tej teorii we wrotkowskiej szkole był fakt, że już w 1926 r. założono sklepik szkolny, który, na zasadach spółdzielni, prowadzili sami uczniowie. Taki zapis o nim odnajdujemy w kronice: „Na zebraniu dzieci starszych, po uprzednim porozumieniu się z rodzicami, założono sklepik szkolny na zasadach spółdzielczych. Udział w sklepiku wynosił 50 gr – udziałowców zgłosiło się 40 dzieci. Ze sklepiku szkolnego mógł korzystać tylko członek. W ciągu roku dzieci uchwały, aby zwiększyć obroty [...] sklepik szkolny nie był obliczony na wykazanie dużej dywidendy dla członków, lecz chodziło głównie o wykazanie różnicy w jakości materiałów oraz wysokości cen w stosunku

do sklepów prywatnych”. Sklep pod opieką nauczyciela, a później kierownika szkoły, Władysława Jadacha, działał pomyślnie wiele lat, przynosząc dochód przeznaczony na dalszy rozwój. Krzewienie, promowanej przez państwo, idei spółdzielczości miało na celu naukę współpracy i uczciwej konkurencji w warunkach gospodarki wolnorynkowej. Odpowiedzialności i konsekwencji swoich działań lub ich zaniechania uczono również uprawiając grządki. Wiosną ogłaszano wśród dzieci konkurs na najlepiej prowadzoną grządkę warzywną. Każda grządka podzielona była na cztery działki: z marchwią, burakami, pietruszką i kwiatami. 10 dziewczynek wielkim nakładem pracy, również w czasie wakacji, doglądało nasadzeń, spodziewając się nagród. Trudno o lepsze pole do nauki konsekwencji w działaniu i odpowiedzialności, niż własna uprawa roślin. Nauczyciel Władysław Jadach założył natomiast kółko rolnicze, zrzeszające okolicznych gospodarzy. W 1928 r. opodatkowali się oni dobrowolnie i z zebranych pieniędzy zakupili radio. Odbiornik stanął w sali szkolnej, a w kronice odnotowano: „W niedziele i święta członkowie koła korzystali z wykładów o treści rolniczej [...] Drugi cel to były pogadanki dla dzieci, na które chętnie przychodzili i bardzo wiele korzystali”. W 1928 r. powstało także Koło Gospodyń Wiejskich, którego celem miało być propagowanie wiedzy o właściwym prowadzeniu gospodarstwa domowego i krzewienie kultury. Zaproszona instruktorka wygłosiła kilka odczytów o hodowli drobiu i utrzymywaniu czystości w domach. Do konkursu na najczystsze mieszkanie przystąpiły cztery członkinie, ale „konkurs nie osiągnął zakreszonego celu, gdyż nie przestrzegano wskazówek podanych w instrukcji”.

NA KONIEC NA JAGODY

Dwa razy do roku dzieci badał lekarz z Głuska. Szczepienia odbywały się na terenie szkoły i każdy uczeń otrzymywał pisemne zaświadczenie o ich odbyciu. Dzieci niezaszczepione na ospę nie były dopuszczane do nauki. Każdy rok szkolny rozpoczynała msza w kościele parafialnym. Przez długi czas była to dla Wrotkowa katedra lubelska, natomiast od 1937 r. nowy kościół pw. św. Teresy, wzniesiony „za cukrownią”, według projektu znanego lubelskiego architekta Jerzego Siennickiego. Tu również odbyło się, w 1938 r., poświęcenie sztandaru szkolnego. Po przedyskutowaniu planu przez Radę Pedagogiczną i rodziców na zebraniu, ustalono składkę po 50 gr od dziecka oraz urządzono festyn z loterią i zabawą, z których dochód przeznaczono na ręcznie haftowany sztandar. Koszt wyniósł 400 zł. Do dziś znajduje się on, w gablocie, w holu Szkoły Podstawowej nr 30. Dobrowolnie składki rodziców i dzieci były podstawą wielu inicjatyw. W 1935 r. zorganizowano loterię fantów przyniesionych przez dzieci, z której dochód przeznaczono na przebudowę komórek gospodarczych i wyposażenie świetlicy. Wśród fantów, przekazanych przez rodziców, było: 30 kur, 18 królików, flakony i półmiski. Składki rodzicielskie przeznaczano również na zakup książek do biblioteki. W 1927 r. biblioteka liczyła 348 tomów i korzystało z niej 150 dzieci, które z własnych składek prenumerowały czasopisma „Płomyk” i „Płomyczek”. W latach 30. na jedno dziecko przypadało 20 przeczytanych książek w ciągu roku.

W 1927 r. życie szkolne urozmaiciła wizyta prezy-

denta RP Ignacego Mościckiego w Rolniczym Zakładzie Doświadczalnym w Zemborzycach. „[...] Dnia 20 września 1927 r. wszystkie szkoły gminy Zemborzycy zebrały się koło drogi prowadzącej do Majdanu Wrotkowskiego i przejeżdżającego Prezydenta obsypały kwiatami”.

Zakończeniem każdego roku szkolnego w okresie międzywojennym były popisy dzieci przed rodzicami i zaproszonymi gośćmi. Przybywali członkowie Dozoru Szkolnego, którego prezesem był proboszcz parafii Zemborzycy ks. Żółtowski, Komisji Powszechnego Nauczania, której prezeską była miejscowa ziemianka Kłobaska, a nawet urzędnicy z kuratorium. Wydarzenia te cieszyły się wielkim zainteresowaniem rodziców. Jednego roku na uroczystość przybyło ich aż 300. Częścią zakończenia roku szkolnego były inscenizacje sztuk teatralnych, śpiewy patriotyczne, a po części oficjalnej wycieczki do lasu na jagody. W kronice wspomniana jest świeża absolwentka szkoły, której placu, spowodowanego zakończeniem edukacji, nie można było ukończyć. Każdy rok szkolny wieńczyły fotografie klasowe, umieszczone w kronice.

W MIEŚCIE

Wybuch II wojny światowej przerwał prężną działalność małej wiejskiej szkoły. 1 września 1939 r. nie był dniem rozpoczęcia nauki, tylko mobilizacji. Jednak już w następnym dniu września starano się powrócić do nauki. Kierownik Jadach zapisał w kronice: „Nauka szła dość normalnie jak na czasy wojenne. Dzieci były jednak dość mocno wyczerpane z powodu niedawnego bombardowania. Na Wrotkowie bowiem zostało wypuszczone około 25 bomb. Nie wyrządziły one żadnej szkody, ani szkole, ani mieszkańcom [...]”. Lata wojenne na wsi bywały ciężkie, ale nauki nie przerywano. Nauczyciele bywali zaangażowani przez okupanta w obowiązki administracyjne, takie jak ściąganie kontyngentów od okolicznych gospodarzy. Nastawiano to lokalną społeczność przeciw pedagogom. Nawyższe zasłużony dla szkoły i wrotkowskiej społeczności, kierownik Władysław Jadach, niesłusznie stracił posadę w 1944 r., oskarżony przez nową władzę ludową o współpracę z Niemcami. Zanim to się stało opisał w kronice ostatnie dni okupacji niemieckiej: „Dzieci młodsze skończyły naukę 1 czerwca, natomiast starsze dzieci powyżej 12 lat na rozkaz okupanta zostały zatrzymane z uwagi na kopanie okopów. Nauka trwała do 20 lipca po to, aby dzieci w ciągu trzech dni mogli pracować przy okopach. Dnia 22 lipca 1944 roku weszły do Wrotkowa wojska radzieckie”.

W pierwszych latach po wojnie warunki były bardzo trudne, ale szkoła starała się pracować normalnie. Zapisano do niej 173 dzieci. Budynek szkoły, uszkodzony podczas bombardowania rosyjskiego 11 maja 1944 r., nie mógł doczekać się remontu aż do lata 1946 r.: „Szkoła w dalszym ciągu stoi nie-remontowana, brak podwójnych okien, pierwsze okna nieuszczelnione, w klasach zimno, pali się mokrym drzewem, którego także brak” – zapisano w kronice. Mimo to, już w 1949 r. odbyła się wycieczka, podczas której dzieci zwiedziły Gdańsk, Gdynię i Sopot. W 1953 r. 43 uczniów podziwiała odbudowującą się stolicę. W roku szkolnym 1950/51 powstała drużyna harcerska, do której należało 47 uczniów. W 1954 r. szkoła była gospodarzem Igrzysk Harcerskich.

1 stycznia 1955 r. miejscowość Wrotków przyłączono do Lublina i właśnie wtedy szkoła otrzymała nr 30. Wkrótce też, w 1957 r., wzniesiono drugi budynek szkolny, gdzie umieszczono bibliotekę, świetlicę, szatnię, gabinet kierownika i dodatkową izbę lekcyjną. Szkoła kontynuowała również swoją rolę społeczną, chociaż już w duchu nowej władzy ludowej. W 1957 r. w kronice zapisano: „Podobnie jak w poprzednim roku szkoła była jedynym ogniskiem kultury dla środowiska. Dzięki licznym kontaktom z rodzicami wzmocniła się więź szkoły ze środowiskiem. Jak grzyby po deszczu rosły anteny telewizyjne, bardzo często na słomianych strzechach. Okres ten śmiało można nazwać „rewolucją kulturalną”. Działalność kontynuowało również kółko rolnicze, propagując mechanizację okolicznego rolnictwa.

W 1964 r. nastąpiła reforma programów nauczania. Szkoła nr 30, mimo trudności lokalowych, stała się szkołą ośmioklasową. Nauczycieli zaczęli wyspecjalizowani w danej dziedzinie nauczyciele. Powstały specjalistyczne klasopracownie wyposażone w preparaty biologiczne, przyrządy geograficzne, itp. Dopiero wtedy ławki z 1937 r. wymieniono na nowe. Kronikarz zanotował w 1964 r.: „Szkoła zyskiwała sobie popularność, dzieci z dumą wyrażały się o korzystnych zmianach, które przecież były tylko dla nich czynione”.

Wpisy do pierwszego tomu kroniki szkolnej kończą się z nadejściem 1976 r., który przyniósł wielkie zmiany w dzielnicy Wrotków. Na polach rozpoczęła się budowa osiedla mieszkaniowego im. Zofii i Wacława Nałkowskich. Wyrosły wielorodzinne bloki, pawilony handlowe oraz nowy, trzeci gmach szkolny.

Małgorzata Michalska-Nakonieczna

UBOGI NAUCZYCIEL NA KRAŃCACH EUROPY

To, że Józef Czechowicz był poetą, wiemy. O tym, że był nauczycielem wie już niewiele osób. 21 czerwca 1921 r. Czechowicz otrzymał świadectwo ukończenia Państwowego Seminarium Nauczycielskiego Męskiego im. J. Słowackiego w Lublinie mieszczącego się przy ul. Narutowicza 2, wtedy ul. Namiestnikowskiej. Od 1 lipca 1921 r. został zatrudniony jako nauczyciel w sześcioklasowej Szkole Powszechnej w Brasławiu. Tak jak każdy nauczyciel, rozpoczynający swoją pierwszą pracę w szkole, również Czechowicz musiał złożyć w obecności dyrektora i dwóch świadków przyrzeczenie służbowe: „W wykonywaniu swych obowiązków służbowych, szczególnie w zakresie wychowania i nauczania powierzonych mi młodzieży przyczyniać się będę ze wszystkich sił do ugruntuwania wolności, niepodległości i potęgi Rzeczypospolitej Polskiej, której zawsze wiernie służyć będę. Wszystkich obywateli kraju na równe mając zachowaniu przepis prawa strzec będę pilnie, obowiązki mego stanowiska spełniać gorliwie i sumiennie, polecenia moich przełożonych wykonywać dokładnie, a tajemnicy urzędowej dochować... Tak – przyrzekam”. Po wypowiedzeniu tych słów nauczyciel składał podpis pod tekstem przyrzeczenia. Czechowicz szybko zostaje przeniesiony ze szkoły w Brasławiu do sześcioklasowej Szkoły Powszechnej w Słobódce – rozpoczął w niej pracę 1 września 1921 r. Z maja 1922 r. zachowały się fragmenty pisanego przez Czechowicza „Dziennika”. To w tym dzienniku zapisał: „Jestem na krańcach Europy ubogim nauczycielem. Czym będę za lat dziesięć, w roku 1932?”. Odpowiadając na to pytanie dzisiaj możemy powiedzieć, że dziesięć lat później (w roku 1932) był autorem trzech ważnych tomów poetyckich związanych mocno z życiem literackim i coraz trudniej łączącym to z byciem nauczycielem. W ciągu tych dziesięciu lat uczył w różnych miejscach (m. in. we Włodzimierzu Wołyńskim), by w roku 1926 zostać nauczycielem Szkoły Specjalnej nr 23 przy ul. Niecałej 6 w Lublinie. Rok później mianowano go kierownikiem placówki. To w budynku Szkoły Specjalnej od-

było się 21 maja 1932 r. o godzinie ósmej wieczorem inauguracyjne zebranie Towarzystwa Literackiego w Lublinie, na którym Czechowicz wygłosił „Mowę na otwarcie Związku Literatów w Lublinie”. W 1933 r. podejmuje decyzję o odejściu z zawodu nauczycielskiego. Czuł się zmęczony Lublinem i nadmiarem nauczycielskich obowiązków. Zdążył jeszcze doprowadzić do otwarcia przy ulicy Kościuszki 2 świetlicy dla dzieci ulicy. Stanowiła ona praktyczną realizację jego pedagogicznych pomysłów. We wrześniu 1933 r. wyjeżdża do Warszawy, gdzie podejmuje pracę w Związku Nauczycielstwa Polskiego (1933–1936). Redagował pisma „Plomien” i „Płomyzek”, a w latach 1934–36 „Miesięcznik Literatury i Sztuki”. W 1936 r. w związku z absurdalnym oskarżeniem, że jego poemat „hildur, baldur i czas” jest apologią homoseksualizmu musiał zrezygnować z pracy w Związku Nauczycielstwa Polskiego. W 1934 r. w lubelskim „Ognisku Nauczycielskim” Czechowicz publikuje ważny tekst „Nauczyciel na polu literatury i sztuki”, w którym pisze: „Zawód nauczycielski ma to do siebie, że posiada charakter raczej idealistyczny, jest więc sztuką, a nie zawodem, wymaga bowiem wysokiego poziomu moralnego, twórczego ustosunkowania się do życia, jako całości (oraz do jego poszczególnych elementów), a wreszcie zmusza człowieka do napięcia sił psychicznych i to w takim stopniu, jaki znają jedynie artyści, jedynie twórcy. Nic więc dziwnego, że ludziom oddanym takiemu zawodowi bliskie są te piękne dziedziny życia kulturalnego: literatura i sztuka. [...] Cała niemal reszta nauczycieli, bez względu na to, w jakich zakładach pracują, bez względu na to, jakie mają wykształcenie, średnie czy wyższe, spełnia wielką rolę «rozprzeczaczy» kultury naszej”. Żeby dopełnić obraz Czechowicza – nauczyciela trzeba koniecznie wspomnieć o jego twórczości dla dzieci. Stworzył swój własny rozpoznawalny styl potrafiący poruszyć dziecięcą wyobraźnię i wrażliwość. Warto zwrócić uwagę, że wśród utworów pisanych z myślą o dzieciach są dość liczne wiersze i opowiadania, w których pojawia się postać marszałka Józefa Piłsudskiego. Podsumowaniem tego krótkiego tekstu o Czechowiczu – pedagogu niech będą słowa jego przyjaciela Kazimierza Miernowskiego: „pedagogiem był z umiłowania i doskonałym. Gdyby nie poezja – nic by go nie oderwało od zawodu nauczyciela”.

Tomasz Pietrasiewicz



Julia Hartwig w towarzystwie Beaty Nowak, swojej sekretarz Anny Piotrowskiej i Tomasza Pietrasiewicza podczas pobytu w Lublinie, 6 października 2011 roku, fot. Marcin Fedorowicz [zbiory Archiwum Ikonografii Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”].

UNIA DWÓCH KOBIET

To był słoneczny, październikowy czwartek. Rok 2011. Ciepło, na tyle, że można było założyć lekkie płaszcz. Krótko po godz. 11 wyszłam z Tomkiem Pietrasiewiczem z Bramy Grodzkiej [dyrektor Ośrodka – red.]. Najpierw poszliśmy po kwiaty, potem na dworzec kolejowy, aby przywitać Julię Hartwig. Poetka zawsze do Lublina przyjeżdżała pociągiem. Tym razem powód podróży do rodzinnego miasta był podwójny – jej 90. urodziny i 90-lecie III Liceum Ogólnokształcącego, którego była absolwentką.

Na Julię Hartwig na dworcu czekała z nami dyrektorka, nauczyciele i uczniowie III LO. Nieopodal dworca – zabytkowy trolejbus „Ziutek”, bo jedną z przygotowanych przez nas niespodzianek dla Julii Hartwig był przejazd „Ziutkiem” pod Bramę Krakowską. W trolejbusie cały czas rozmawialiśmy o Lublinie, jego teraźniejszości i przeszłości. Rozmawialiśmy też w drodze spod Bramy Krakowskiej do hotelu.

Na zdjęciu, które prezentujemy w PA.RZE widać moment, w którym rozmawiają ze sobą dwie niezwykle kobiety – Julia Hartwig i Beata Nowak. Wybitna poetka i wybitna nauczycielka. Pamiętam, że mówiły o Lublinie i o szkole, którą jedna z nich ukoń-

czyła, a druga w niej uczyła. Obie panie dziś nie żyją, ale ich dorobek i działalność są bardzo ważną częścią historii Lublina.

Julia Hartwig to jedna z najbardziej uznanych współczesnych polskich poetek, była także pisarką, eseistką i tłumaczką z języka francuskiego i angielskiego. Urodziła się w Lublinie. Tu uczęszczała do Gimnazjum im. Unii Lubelskiej, w którym zdała maturę w 1939 r. W 1936 r., w szkolnym piśmie „W Słońce” opublikowała swój pierwszy wiersz. Julia Hartwig Lublinowi poświęciła kilkanaście wierszy i eseje publikowane w albumach fotograficznych brata – Edwarda Hartwiga. Zmarła w lipcu 2017 r.

Beata Nowak pochodziła z Podkarpacia, ale swoje życie związała z Lublinem. Była polonistką w III Liceum Ogólnokształcącym im. Unii Lubelskiej. Pomysłodawczyni i redaktorka naczelna szkolnej gazety „Sensor” oraz twórczyni i koordynatorka Młodzieżowych Warsztatów Dziennikarskich. Beata Nowak zmarła we wrześniu 2017 r. po długiej walce z chorobą, w której do końca wspierała ją jej uczniowie. Dla nich była nie tylko nauczycielem przekazującym wiedzę, ale też mistrzem i przyjacielem.

Joanna Zętar

SZLIFOWANIE BRUKÓW

Żadna inna ulica Lublina nie ma tak bogatej dokumentacji fotograficznej jak Krakowskie Przedmieście. Nazywana najpiękniejszą z lubelskich ulic, salonem Lublina, była – i chyba jest nadal – popularnym miejscem spotkań mieszkańców. Od czasu upowszechnienia fotografii pojawia się często na zdjęciach, zazwyczaj jako tło osób sportretowanych na ulicy. Duży udział w uwiecznianiu wyglądu Krakowskiego Przedmieścia mieli uliczni fotografowie, tzw. lajkarze. Ich nazwa pochodziła od aparatów niemieckiej firmy Leica, które umożliwiały szybkie, „reporterskie” zrobienie zdjęcia. Fotografie wykonane przez lajkarzy stanowią największą grupę zdjęć w zbiorach rodzinnych z okresu międzywojennego. Niemal w każdym rodzinnym albumie z tego okresu można znaleźć przynajmniej kilka, a czasem nawet kilkadziesiąt, tego rodzaju fotografii. Lajkarze najczęściej wykonywali zdjęcia na Krakowskim Przedmieściu: na placu Litewskim, przy Poczcie Głównej, kościele Kapucynów i hotelu Victoria, nieco rzadziej w sąsiedztwie Kasy Przemysłowców Lubelskich (obecny Grand Hotel Lublinianka). Dzięki nim zostało uwiecznione na fotografiach życie codzienne na głównej ulicy Lublina. Lajkarze fotografowali wszystkich przechodniów, bez względu na płeć czy wiek: mężczyzn, kobiety, dzieci. Nic więc dziwnego, że na ich zdjęciach zostali uwiecznieni także uczniowie lubelskich szkół.

Na prezentowanej fotografii widzimy czterech gimnazjalistów idących Krakowskim Przedmieściem na wysokości placu Litewskiego. Za ich plecami Hotel Europejski, a po przeciwnej stronie ulicy, przy prawej krawędzi zdjęcia, nieistniejący hotel Victoria. Fotograf uchwycił młodych ludzi w gwarny, słoneczny dzień. Prawdopodobnie jest wczesna wiosna – jeszcze ciepło ubrani, ale porozpinane płaszcze świadczą o tym, że słońce grzeje już znacznie mocniej. Pod płaszczami mają szkolne mundurki. Dzięki temu, że zachowało się inne zdjęcie, na którym widać dwóch uczniów z tej fotografii (znamy nawet ich nazwiska; to Lechosław Dymowski i Andrzej Pieczyrak), możemy powiedzieć z jakiej byli szkoły. Identyfikację umożliwia tarcza na rękawie z numerem 494 oznaczającym Gimnazjum i Liceum imienia Hetmana Jana Zamoyskiego mieszczące się przy ul. Ogrodowej.

We wspomnieniach dawnych mieszkańców Lublina powtarza się informacja o zwyczaju przedwojennej młodzieży, zarówno uczniów, jak i studentów, chodzenia po zajęciach na spacer po Krakowskim Przedmieściu. Sergiusz Riabinin wspominał: „Miejscem «szlifowania bruków» przez młodzież szkolną, zwłaszcza po lekcjach lub w godzinach popołudniowych, było Krakowskie Przedmieście na odcinku od ul. Chopina do Kapucyńskiej (...). Miejsce chyba nieprzypadko-



Gimnazjaliści na Krakowskim Przedmieściu, lata 30. XX wieku. W środku Lechosław Dymowski i Andrzej Pieczyrak [zbiory rodzinne Lechosława Dymowskiego].

we, wszak przez ul. Kapucyńską wracały ze szkoły dziewczęta z czterech gimnazjów: Arciszowej, Unii Lubelskiej, Urszulanek i Czarneckiej”. Ta „nieprzypadkowość” miejsca wyjaśnia cel tych spacerów: był to sposób na zawarcie nowej znajomości; wstępne poznanie się, przynajmniej z widzenia. W tamtych czasach nie było to takie proste. Jedną z uczennic Gimnazjum Zeńskiego im. Unii Lubelskiej wspominała „W starszych klasach (...) przełożona przyszła i powiedziała, że od trzeciej, od czwartej klasy wolno nam było chodzić z chłopcami, bo przedtem nie wolno było”. Oczywiście były pewne zastrzeżenia: „wolno nam było chodzić z chłopcami, tylko nie po ciemnych ulicach”. Ta sama, anonimowa, uczennica wspominała: „wolno nam było

chodzić tylko na dwie zabawy w ciągu roku. I to musiały być szkolne zabawy. Pamiętam, któraś z koleżanek poszła na jakąś prywatną zabawę, to już było w gimnazjum. Nie wiem, jak to dotarło do naszej wychowawczyni czy do przełożonej, w każdym razie (...) była taka awantura, że z początku chcieli ją wyrzucić w ogóle ze szkoły, ale w końcu stanęło na tym, że obniżono jej tylko stopień z zachowania, ale ponieważ była bardzo dobrą uczennicą, to jej pozwolono zostać w szkole”.

Zdaniem Janiny Smolińskiej, także uczennicy gimnazjum im. Unii Lubelskiej „w szkole panowała ostra dyscyplina, nawet w najdrobniejszych sprawach (...) Na ulicy można było przebywać uczniom tylko do godziny 20 w towarzystwie rówieśniczek lub star-

szych osób, bezwarunkowo w przepisowych strojach”. I jeszcze raz Sergiusz Riabinin: „wszyscy uczniowie w mundurkach, z tarczami szkoły na ramieniu. Było jak zawsze wśród młodych wesoło, ale bez chuligańskich wyrażań i wybryków”. Choć, kto wie, może jednak były jakieś wybryki, skoro jedna z uczennic, mówiąc o obowiązku noszenia tarcz, dodawała „Bo przynajmniej jak była tarcza, to jak ktoś tam rozrabiał ze szkoły, to wiadomo było z jakiej”. Ale tak to już jest z ludzką pamięcią, że przeszłość ulega z czasem idealizacji i na zawsze utrwała się obraz, jak z prezentowanej fotografii – słonecznej ulicy i roześmianych młodych ludzi.

Marcin Fedorowicz



1 Uczestnicy kursu nauczycielskiego w Lublinie [zbiory Muzeum Lubelskiego w Lublinie]; (2) Zbiorowy portret uczenia z okresu międzywojennego [zbiory Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”]; (3) Uczniowie szkoły powszechnej w okresie międzywojennym, fot. Ludwik Hartwig [zbiory Jana Zucha]; (4) Pożegnanie dyrektorki Państwowego Gimnazjum

Żeńskiego im. Unii Lubelskiej w Lublinie – Jadwigi Firewiczowej, 1936 rok [zbiory Danuty Riabinin]; (5) Uczennice gimnazjum w dwudziestolecie międzywojennym [zbiory Eugenii Wachowskiej]; (6) Pracownia biologiczna, zdjęcie z „Albumu Szkoły Powszechnej na Czwartku”, 1929 rok [zbiory IV Liceum Ogólnokształcącego im. Stefanii Sempołowskiej];

(7) Orkiestra szkolna, zdjęcie z „Albumu Szkoły Powszechnej na Czwartku”, 1929 rok [zbiory IV Liceum Ogólnokształcącego im. Stefanii Sempołowskiej]; (8) Przedstawienie szkolne w Gimnazjum im. Unii Lubelskiej, ok. 1933 [zbiory Danuty Riabinin]; (9) Uczniowie niezidentyfikowanej szkoły lubelskiej, fot. Abram Zyllberg [kolekcja szklanych negatywów

z Rynku 4]; (10) Szkoła na Czwartku, fasada, zdjęcie z „Albumu Szkoły Powszechnej na Czwartku”, 1929 rok [zbiory IV Liceum Ogólnokształcącego im. Stefanii Sempołowskiej]; (11) Pracownia fizyczno-chemiczna i geograficzna, zdjęcie z „Albumu Szkoły Powszechnej na Czwartku”, 1929 rok [zbiory IV Liceum Ogólnokształcącego im. Stefanii Sempołowskiej];

(12) Szkoła Powszechna, fot. Lu szkoły





3. Szkoła na Czwartku, korytarz, zdjęcie z „Albumu Szkoły powszechnej na Czwartku”, 1929 rok [zbiory IV Liceum Ogólnokształcącego im. Stefanii Sempołowskiej]; (13) Przednie szkolne w Gimnazjum im. Unii Lubelskiej, 1932/1933, dwik Hartwig [zbiory Danuty Riabinin]; (14) Uczniowie żydowskiej w Lublinie, fot. Abram Zylberberg [kolekcja

4] szkłanych negatywów z Rynku 4]; (15) Lekcja biologii w Gimnazjum Unii Lubelskiej [zbiory archiwum Julii Hartwig i Artura Międzyrzeckiego]; (16) Lekcja gimnastyki [zbiory Eugenii Wachowskiej]; (17) Lekcja gimnastyki, zdjęcie z „Albumu Szkoły Powszechnej na Czwartku”, 1929 rok [zbiory IV Liceum Ogólnokształcącego im. Stefanii Sempołowskiej].



WĘDROWNIK PO ARCHITEKTURZE SZKÓŁ

OKRES MIĘDZYWOJENNY

Szkoła 4

W 1926 r. został zaprojektowany i wybudowany budynek Szkoły Powszechnej nr 3, w którym obecnie mieści się Liceum Ogólnokształcące nr 4. Projekt był dziełem Ignacego Kędzierskiego, pełniącego funkcję architekta miejskiego, a także kierownika Wydziału Budowlanego Zarządu Miejskiego. Zgodnie z ogólną tendencją zaakcentowano główne wejście do budynku, elewację frontową pokrywał detal architektoniczny, a na szczytowej ścianie nawet znalazły się esowate woluty (współcześnie tę elewację pokryto także stonowanym murałem). Zapewne architekt wziął pod uwagę to, że szkoła stanie w szczególnym miejscu – na wysokiej skarpie wzgórza zwanego Czwartek, przeciętego głęboko wrzynającą się ulicą, naprzeciw osławionego przypuszczeniem, że jest najstarszą świątynią w mieście, kościoła św. Mikołaja. Gmach szkoły na Czwartku pod względem formy zalicza się do obiektów umiarkowanego modernizmu, niestroniących od historyzującego detalu architektonicznego. Natomiast program użytkowy szkoły, która miała mieć salę gimnastyczną i specjalistyczne pracownie, odpowiadał nowoczesnej idei wielofunkcyjnej placówki szkolnej.

Stowikowskiego 6

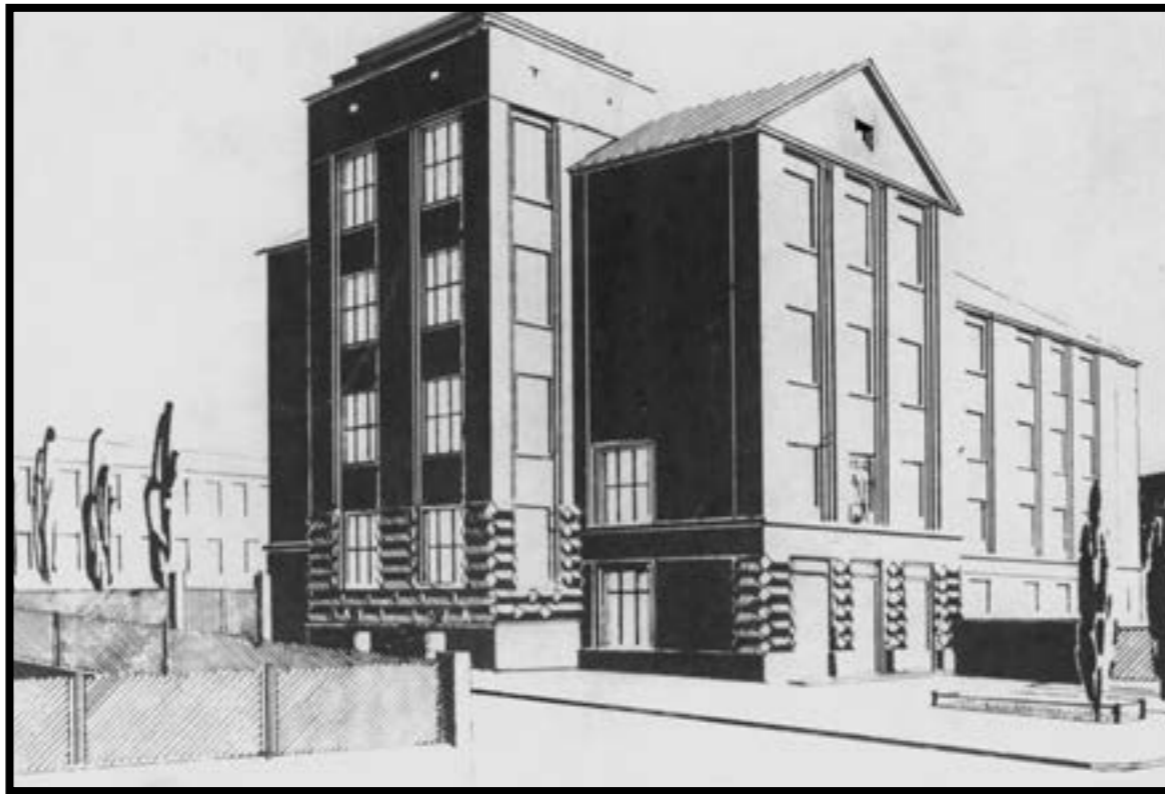
W latach 1927-1934, został zbudowany według projektu Jerzego Siennickiego monumentalny budynek Wyższego Gimnazjum Biskupiego Męskiego przy ul. Krzywej 29, założonego przez biskupa Mariana Fulmana. Potężny gmach o tradycyjnej, spadzistej formie dachu nakrywającego korpus założony na rzucie litery „V”, w pełni odpowiadał wzorcowym projektom szkół w zakresie układu funkcjonalnego. Składały się na niego sale nauki o optymalnym położeniu pod względem oświetlenia światłem naturalnym, specjalistyczne pracownie, biblioteka i rozbudowana część administracyjna. W budynku mieścił się internat. W zakresie konstrukcji zastosowano współczesne rozwiązanie: ściany wewnętrzne oraz stropy wsparto na słupach z żelbetu. Wdrożenie tej technologii przy budowie szkół lubelskich było symptomem nowoczesności, dawało większą swobodę kształtowania przestrzennych wnętrz a przy tym efektywnie skracало czas budowy.

Żelbetowe fundamenty, stropy grzybkowe, słupy, podciągi oraz gzymsy zastosowano w gmachu Państwowej Szkoły Przemysłowo-Handlowej Żeńskiej przy ul. Spokojnej, zbudowanej w latach 1928-1931. Tam łączną kubaturę tych elementów oszacowano aż na 300 m³.

Al. Racławickie 5

Na przełomie lat 20. i 30. XX w., w okresie ogólnoswiatowego kryzysu gospodarczego, nastąpiło znaczące ograniczenie inwestycji użyteczności publicznej. Pomimo to pod koniec 1931 r. na obszarze Lublina rozpoczęto budowę dwóch nowych szkół.

Do budowy nowego gmachu przystąpił Komitet Budowy Szkoły Budownictwa, której słuchacze rekrutowali się z rozległego obszaru, głównie z województw lubelskiego, wołyńskiego i poleskiego. Projektantem budynku, wybranego w konkursie, był inż. arch. Stanisław Łukasiewicz. Termin wykonania projektu był krótki, a program użytkowy bardzo rozbudowany, gdyż szkoła obejmowała trzyletni kurs szkoły budownictwa, dwa czteroletnie kursy szkoły technicznej z wydziałem drogowym i melioracyjnym, oraz trzyletni kurs nadzorców budowlanych. Oprócz sal lekcyjnych obiekt miał pomieścić specjalistyczne pracownie, warsztaty, strefę wychowania fizycznego z salą gimnastyczną, pomieszczenia, w których miało toczyć się „życie społeczne” szkoły: aulę, jadalnię, bufet, świetlicę, bibliotekę i czytelnię, a także dział administracji. Kubatura gmachu – 35 tys. m³. Łukasiewicz, który w momencie przystąpienia do konkursu miał 27 lat i dopiero rozpoczynał karierę zawodową, usytuował budynek tak, by uzyskać najlepsze oświetlenie sal lekcyjnych. Było to wyzwanie, gdyż działkę szkolną po jej obrębie miała otaczać siatka ulic, od strony wschodniej dostęp światła mogły tłumić wysokie drzewa Ogrodu Saskiego, a ponadto, zgodnie z warunkami konkursu, front budynku miał być usytuowany od strony południowej wzdłuż Al. Racławickich, co oznaczało, że główne wejście do budynku (a co się z tym łączy także klatka schodowa) miało „odebrać” całkiem spory fragment najkorzystniej położonego względem słońca, bo od strony południowo-zachodniej, skrzydła budynku. Budowa kompleksu z uwagi na jego ogrom miała przebiegać w czterech etapach. Komitet Budowy korzystał z zasiłków Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, pochodzących



Projekt budowy gmachu Państwowej Szkoły Przemysłowo-Handlowej Żeńskiej przy ul. Spokojnej w Lublinie, obecnie budynek nieużytkowany [Archiwum Państwowe w Lublinie, zespół: Urząd Wojewódzki Lubelski, Oddział Budowlany, sygn. 1490].

Ogólny model placówki szkolnej został dopracowany i upowszechniony wraz z odzyskaniem niepodległości przez Polskę, gdy wprowadzono szkolnictwo powszechne. Zadaniem szkoły stało się wówczas nie tylko rozwijanie wiedzy wychowanków, ale także poprawa kondycji fizycznej młodego pokolenia, przed którym stawiano zadanie kontynuacji odbudowy państwa i udział w jego rozwoju, a w razie zaistnienia takiej potrzeby – czynnej obrony kraju. Złożony program wpłynął na formowanie placówki szkolnej jako obiektu składającego się z wielu elementów: gmachu w którym prowadzono naukę w salach lekcyjnych i zintegrowanej z nim lub umieszczonej w odrębnej kubaturze sali gimnastycznej, boiska szkolnego, ogrodu i części mieszkalnej, chociażby dla dyrektora szkoły.

Wielofunkcyjność wpływała na „architekturę” szkół, którą dla potrzeb wyjaśnienia przemian w architekturze pierwszych dekad XX w. możemy rozumieć szerzej niż jako jej zewnętrzną formę, czy „kostium stylowy” – gdy wykorzystane zostały formy zaczerpnięte z epok historycznych. Architekturą byłyby wszystkie składowe elementy, nawet te, które w epokach wcześniejszych były całkowicie skryte, a w tym okresie bywały wręcz podkreślane. Mam tutaj na myśli logikę układu wewnętrznego i konstrukcję, bowiem w tym okresie coraz silniej podkreślano związek między architekturą i konstrukcją. To zjawisko przekładało się na współpracę pomiędzy architektem, będącym twórcą koncepcji i zasadniczego projektu, a współpracującymi z nim osobami odpowiedzialnymi za wykonanie obliczeń statycznych, zapewniających bezpieczeństwo użytkownika obiektu. Ukształtowanie wieloelementowej placówki szkolnej było zatem pewnym rodzajem kompromisu pomiędzy zarysem programowym a ograniczeniami wynikającymi z technologii i konieczności uczynienia zadość programowi i użytkownikowi, wypracowywanemu przez oddórne wytyczne ministerialne. W dziedzinie budownictwa szkolnego nietrudno jest zauważyć, jak w miarę upływu czasu architekci odchodzili od nawiązywania do stylów historycznych i jakiegokolwiek stylizacji, a więc bardzo ogólnie sprawę ujmując – od umiarkowanego modernizmu – i skłaniali się ku ekspozycji struktury obiektów. Szczegółowe plany podlegające zatwierdzeniu powstawały w ścisłej współpracy ze specjalistami innych branż technicznych. Szala przechyliła się na przełomie lat 20. i 30. XX w.

Warto mieć na uwadze, że w praktyce forma części obiektów zrealizowanych w tym okresie w Lublinie wynikała z kompromisu. Był to kompromis pomiędzy realnymi możliwościami finansowymi a innowacyjnością architekta i umiejętnością sprostać wymogom ministerialnym, przede wszystkim w zakresie zapewnienia odpowiednich warunków zdrowotnych w budynku (miało być widno, ciepło i suchy). Projektant musiał również przewidzieć prowadzenie zajęć wychowania fizycznego na korytarzach, boisku szkolnym i w sali gimnastycznej, często jednak tę inwestycję odkładano „na później”.

Pomimo wysiłków władz miejskich, wsparcia finansowego ze strony państwa, zaangażowania mieszkańców i wysiłków organizacyjnych komitetów budowy szkół, liczba gmachów szkół zbudowanych w okresie międzywojennym w Lublinie nie była w stanie w pełni zaspokoić potrzeb prężnie rozwijającego się miasta, będącego największym ośrodkiem pomiędzy Wisłą a Bugiem. Przeszkodą były przede wszystkim niewystarczające fundusze, ale pomimo to od podstaw wzniesiono osiem nowych obiektów (nie wszystkie o wysokim standardzie, bo wśród nich były drewniane budynki szkół powszechnych). W 1939 r. rozpoczęto budowę kolejnej szkoły (prace kontynuowano w okresie okupacji). Niezależnie od tego rozbudowywano gmachy istniejące.

z funduszu dodatku przemysłowego do opłat patentowych, a ministerstwo zalecało „baczyc”, aby tak pod względem programowym, jako też sposobu wykonania robót, zachowane były zasady racjonalnej gospodarki budowlanej”. Przed przystąpieniem do pierwszego etapu ogłoszono odrębny przetarg na wykonanie stropów, gdyż przy ich rozpiętości przekraczającej 7 m Łukasiewicz zdecydował o zastosowaniu do ich konstrukcji technologii żelbetu. Pod obliczeniami statycznymi do tego etapu budowy, oprócz Łukasiewicza, podpisał się arch. Tadeusz Witkowski. Budowa szkoły wzbudzała ogólnopolskie zainteresowanie i w 1932 r. poświęcono jej odrębny artykuł w specjalistycznym miesięczniku „Architektura i Budownictwo”, zamieszczając plany całego obiektu. W innym periodyku podkreślano, że kompozycja elewacji szkoły wskazuje „na dążenie do uzyskania prostoty, spokoju i równowagi w ogólnym układzie bryły”. Z tym dążeniem nie pozostawał w sprzeczności zamiar obłożenia partii przyziemia klinkierem krotoszyńskim, gdyż wydawnie mogło to podnosić walor użytkowy elewacji. Jednak nawet klinkier mógł być traktowany jako zbędny element wystroju. Gdy w 1939 r. Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego zatwierdziło projekt budowy Gimnazjum Mechanicznego i Elektrycznego w Lublinie przy ul. Długosza, zastosowało pismo do Kuratorium Okręgu Szkolnego Lubelskiego, w którym ze względów oszczędnościowych zalecało zredukowanie stosowania licówki klinkierowej, nawet kosztem konieczności modyfikacji fasad.

Al. Racławickie 26

Pod koniec września 1931 r. rozpoczęto przy Al. Racławickich budowę innego gmachu szkolnego – Państwowego Gimnazjum Męskiego im. Stanisława Staszica, które miało przenieść się z ul. Narutowicza 12. Projektantem budynku o kubaturze 17.500 m³ był inż. arch. Ludwik Szymański z Warszawy. Wraz z postępowaniem prac budowlanych urządzano otoczenie szkoły: boisko, ogród szkolny i ogrodzenie. W obiekcie założono instalację gazową i wodno-kanalizacyjną, a dodatkowo wykonano odrębny odcinek instalacji wodociągowej w pracowni fizyko-chemicznej. Był to więc budynek o dobrym standardzie wyposażenia, jednak o szczególnym charakterze tej budowli w dziejach budownictwa szkolnego w Lublinie przesądza nie tylko nowoczesne wyposażenie i forma architektoniczna, lecz także zastosowanie technologii żelbetu do wykonania stropów.

Lipowa 7

Żelbetem posłużono się tuż przed wybuchem II wojny światowej przy budowie przy ul. Lipowej bliźniaczych (zespólnych wspólną ścianą) siedmioklasowych szkół powszechnych: męskiej i żeńskiej. Ich forma architektoniczna utrzymana była w nurcie lat 30. XX w. Projektantem tej inwestycji był architekt Kazimierz Barszczewski, absolwent Wydziału Architektonicznego Politechniki Lwowskiej. „Głos Lubelski” w notce poświęconej rozpoczęciu prac przy budowie szkoły akcentował, że jej żelbetowa kon-

Bibliografia:

- * Dokumenty Archiwum Państwowego w Lublinie.
- * *Nowa placówka budownictwa w Lublinie*, „Architektura i Budownictwo”, 1932, nr 3-4, s. 129-130.
- * Jerzy Żywicki, *Początki budownictwa żelbetowego w Lublinie*, „Kwartalnik Historii Kultury Materialnej”, nr 65 (1), 2017.
- * Marzena Galecka, *Szkoły Drugiej Rzeczypospolitej*, „PA.RA”, nr 13, 2018.
- * Krzysztof Wałaszewski, *Tysiąc szkół na Tysiąclecie. Szkoły Tysiąclecia – architektura, propaganda, polityka*, Łódź 2018.
- * *Architektura i budownictwo szkolne PRL*, Dobrek Jerzy (red.), Warszawa 1976.
- * Strona internetowa SP nr 27 w Lublinie.

Początek akcji budowy SPTPP zbiegł się z przełomem w polskiej architekturze okresu powojennego. W 1956 r., podczas Ogólnopolskiej Narady Architektów środowisko to – po okresie socrealizmu – zadeklarowało powrót do architektury nowoczesnej, do wątków modernistycznych. Kierunek wyznaczały: prefabrykacja, typizacja i normalizacja architektury, a potwierdzeniem tych tendencji było podjęcie próby opracowania normatywu budownictwa szkolnego, przede wszystkim dla stopnia podstawowego, stanowiącego ok. 70 proc. inwestycji w tym okresie. Zastanawiano się nad modelem budynku nowoczesnego w formie, sprzyjającego procesowi edukacji i jednocześnie zoptymalizowanego w zakresie kosztów budowy. Powstał więc model gmachu zwartego jedno- lub dwukrzydłowego (za przeciwieństwo można uznać zabudowę pawilonową), piętrowego (optymalnie o dwóch lub trzech kondygnacjach, w zależności od liczby pomieszczeń) i nakrytego płaskim dachem. Jeżeli sala gimnastyczna nie mogła być umieszczona w korpusie budynku, to wówczas projektowana była jako stojąca odrębnie, ale połączona z budynkiem głównym łącznikiem. Charakterystycznym elementem tej architektury były duże okna, gdyż wielką wagę przykładano do właściwego oświetlenia sal lekcyjnych. Charakterystyczny był też układ funkcjonalny z wewnętrznym korytarzem (tak zwany układ 2,5-traktowy, najbardziej oszczędny biorąc pod uwagę koszty realizacji) rozszerzającym się na pewnym odcinku tak, aby stworzyć przestrzeń przeznaczoną na rekreację, czyli miejsce ćwiczeń gimnastycznych dla młodszych klas i gromadzenia się uczniów w czasie przerw w zajęciach szkolnych.

W 1966 roku SFBS został zamieniony w Społeczny Fundusz Budowy Szkół i Internatów (dlatego otworzyła się możliwość realizacji jako obiektu tysiąclecia lubelskiego internatu Technikum Kolejowego), który kontynuował działalność do końca 1971 roku. Mniej więcej wówczas zakończyła się pewna epoka w dziejach kształtowania budynku szkolnego, jakkolwiek pewne rozwiązania były powielane jeszcze w następnych dekadach.

struktura zastosowana do wykonania stropów, płaskiego dachu i słupów frontowych będzie przygotowana do obrony przeciwlotniczej. Nadiągała wojna i nomen omen ostatni numer „Architektury i Budownictwa”, który ukazał się w sierpniu 1939 r., został poświęcony w całości obronie przeciwlotniczej. Pierwszy akapit głosił: „Sprawa biernej obrony przeciwlotniczej jest zagadnieniem pierwszorzędnej znaczenia z punktu widzenia przygotowania narodu do wojny”.

„TYSIĄCLATKI” LUBLINA

Powszechna ogólnopolska akcja budowy szkół zwanych „tysiąclatkami” rozpoczęła się w listopadzie 1958 r., z chwilą powołania Społecznego Funduszu Budowy Szkół Tysiąclecia. Ogólnopolską zbiórką środków objęto całe społeczeństwo. Na przykład robotnicy odprowadzali na ten cel 0,5 proc. swoich zarobków. Duży udział w budowie „tysiąclatek” miała Polonia, a wiele instytucji kulturalnych przekazywało części dochodów.

Nie wszystkie szkoły zbudowane w latach 1958-1965 możemy nazywać „tysiąclatkami”, gdyż w tym samym okresie wznoszono także obiekty ze środków budżetowych. Ogółem zbudowano ich 1423. Prowadzono szczegółową ewidencję obiektów, które systematycznie zamieszczano na oficjalnej liście Szkół Pomników Tysiąclecia Państwa Polskiego (SPTPP), bo tak właśnie brzmiała pełna nazwa placówek ufundowanych przez społeczeństwo. W Lublinie powstało sześć takich szkół. Tylko jedna z lubelskich „tysiąclatek” nadal nosi to samo imię, pięć budynków z sześciu wykorzystywanych jest jako placówki szkolne.

- * Pierwszej lubelskiej „tysiąclatce” – Szkole Podstawowej nr 9, zbudowanej przy ul. Lipowej 25, nadano imię Manifestu Lipowego. Obiekt zajął 409 pozycję na ogólnopolskiej liście SPTPP.
- * Jako następną wybudowano SP nr 7 im. Aleksandra Szymańskiego (od 2000 r. im. ks. Jana Twardowskiego) przy ul. Plazów 9. Kamień węgielny pod budynek został położony 5 października 1960 r. Budowa obiektu i jego wykończenie trwały dwa lata, do jesieni 1962 r.
- * SP nr 17 im. Zwycięstwa Grunwaldzkiego przy ul. Krochmalnej 29 nadal nosi to samo imię.
- * W pierwszej połowie lat 60. XX w. powstała SP nr 27 im. 20-lecia PRL, położona przy ul. Kresowej 1, w środkowej, najmłodszej części osiedla Tatarsy. Szkołę budowano według indywidualnego projektu inż. Stanisława Fijałkowskiego i inż. arch. Jerzego Makowieckiego. Uroczyste otwarcie szkoły miało miejsce 3 września 1963 r. Placówka była 659 oddaną do użytku „tysiąclatką”. Od 2004 r. szkoła nosi nowe imię – Marii Montessori.
- * SP nr 12 im. Tysiąclecia Państwa Polskiego przy ul. Podwale 3 jest dziś siedzibą straży miejskiej i wydziału Urzędu Miasta.
- * Ostatnią oddaną do użytku lubelską tysiąclatką (według rankingu SPTPP był to 1391 obiekt) jest SP nr 33 im. M. Wójciszewicza przy ul. Pogodnej 19, po przemianowaniu nosząca imię 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej.
- * Na liście obiektów mających uczyć rocznicę Tysiąclecia Państwa Polskiego znajduje się także internat Technikum Kolejowego w Lublinie przy ul. Zemborzycy 82, zbudowany w 1969 r. przy wydatnej pomocy lubelskich kolejarzy.

Marzena Galecka



Projekt Gimnazjum Biskupiego przy ul. Krzywej 29 w Lublinie [Archiwum Państwowe w Lublinie, zespół: Urząd Wojewódzki Lubelski, Oddział Budowlany, sygn. 1486].

W TYM „NAUCZYCIELSKIM” ODCINKU CHCEMY POŚWIĘCIĆ KOMIKS KOMUŚ KTO ZOSTAŁ ZAPAMIĘTANY PRZEZ GRONO LUDZI, JAKO OSOBA POTRAFIĄCA DOSTRZEĆ TALENT W KAŻDYM CZŁOWIEKU.

WIELE OSÓB WSPOMINA BARBARĘ KOTERWAS ALE CIŃCIELIŚMY, ABY TE WSPOMNIENIA BYŁY POŁĄCZENIEM WSZYSTKICH TYCH, KTÓRZY PAMIĘTALI O NIEJ.



Dlatego też sięgamy po nasz ośrodkowy leksykon - który również jest jednym z narzędzi spełniających misję edukacyjną - i na podstawie relacji, zdjęć i tekstów tam zawartych zbudowaliśmy tę oto historię.

NASZA BASIUNIA NIE JEST CAŁKIEM GŁUPIA

SCENARIUSZ: MACIEJ TUORA
RYSONKI: MACIEJ TATKA

SZUKAŁAM SPOSOBU PRZEKONANIA WSZYSTKICH, ŻE BEZWŁAD NÓG TO NIE ZANIK MÓZGU.

JAK TO SIĘ ZAKŁĘŁO?

BARBARA KOTERWAS URODZIŁA SIĘ 4 GRUDNIA 1912 ROKU. CHOROBA, NA KTÓRĄ ZAPADŁA NIESPODZIEWANIE W WIEKU 8 LAT, ODEBRAŁA JEJ WŁADZĘ W NÓGACH I PRZYKŁĘŁA DO ŁÓŻKA.

NIE NUDZIŁAM SIĘ.

Z PASJĄ, OBSERWOWAŁAM LUDZI. PATRZYŁAM. SŁUCHAŁAM.

ZASTANAWIAŁAM SIĘ, JAK ZACHOWA SIĘ ZA CHWILĘ CZŁOWIEK, PRZEDE MNIE OBSERWOWANY. BUDOWAŁAM WŁASNY ŚWIAT.

CZASEM TEN I ÓW PRZYSTANAŁ, ABY ZE MNĄ POGAWORZYĆ.

NIERAZ USŁYSZAŁAM GŁOŚNO WYPOWIADANĄ OPINIĘ:



4 LIPCA 1928 ROKU BASIA POSTAWIŁA PONOWNIE PIERWSZE KROKI. POWRÓT DO PEŁNEJ SPRAWNOŚCI FIZYCZNEJ NIE OKAZAŁ SIĘ CAŁKOWICIE MOŻLIWY. TO NIGDY NIE POWSTRZYMAŁO JEJ PRZED AKTYWNYM ŻYCIEM.

W LATACH WOJNY I OKUPACJI BARBARA KOTERWAS BYŁA ŁĄCZNICZKĄ ARMII KRAJOWEJ.

JAN MAGIERSKI WSPOMINA: BASIA BYŁA SANITARIUSZKĄ. BEZ LĘKU, POTRAFIŁA TAK WYKOMBINOWAĆ, ŻE MOGŁA TRZEŚBEC, GBY WISZCZY SIĘ BAŁI, BO BYŁ ESTDAŁ ONA ZA OBSERWOWAŁA, W KTÓRYM MIEJSCU POCISKI UDERZAŁA OBRUK, A PONIEWAŻ ZAOWAŻYŁA, ŻE PÓMIĘDZY TYMI UDERZENIAMI A NARÓZNIKIEM BYŁO 20 CENTYMETRÓW, TO ONA SIĘ TAM ZMIĘŚCIŁA I PRZEBIEGŁA, OPATRYŁA KOGOŚ.

DIŁEKI JEJ ZAINTERESOWANIU ZICHAMI I ZIÓŁOLEZNICTWEM UDAŁO SIĘ OPINOWAĆ EPIDEMIE CZERWONKI, KTÓRĄ WYBUCHAŁA W ORODZIE JENIECKIM, NA TERENIE DAWNEJ FABRYKI SAMOLOTÓW „PŁAGE I ŁASKIEWICZ”.

PO OKUPACJI BARBARA KOTERWAS STWORZYŁA GRUPĘ HARCERSKĄ, DZIAŁAJĄCĄ W LATACH 1945 - 1950.

ZAMSZĘ PRZEJONOWAŁ MNIŁE TEATR. POPRZEZ SŁOWO, TEN PODSTAWOWY ELEMENT TEATRU, POTRZEĆ DO WIDZA - SŁUCHACZA.

PO NIESPODZIEWANYM ZAKOŃCZENIU PRZEZ ZHP WŚRODTRACY, BARBARA W MAJU 1946 ROKU ROZPOCZYŃA PRACĘ W LABORATORIUM FARMACEUTYCZNO-CHEMICZNEJ FIRMY „J. MAGIERSKI I S-KA”.

WYPWIERDZIŁI MI UMOWĘ, MIMO ŻE ŻADNEJ Z NIŁMI NIE PODPISAŁAM.

ZAMĘCZYLI MNIE PODATKAMI JEJŃ ODPAŁ FIRME POD KONTROLĘ PRYWATNA.

W ROKU 1950 FIRMA UPADA, A WŁAŚCICIEL, STANISŁAW MAGIERSKI, PRZEKAZAŁ MĄTATEK NA RZECZ SZKOLENIA „PERMEDIA” UTWORZONEJ PRZEZ DAWNYCH PRACOWNIKÓW, ZAŚ SAM OBJĄŁ FUNKCJĘ KIEROWNIKA TECHNICZNEGO.

STANISŁAW MAGIERSKI LUBIŁ OPWIADAĆ RÓDZAS PRACY OŻYKU I TWÓRCZOŚCI WYBITNYCH PISARZY POLSKICH. WÓRÓDZE TE GAWIŁY PRZEODRÓDZY SIĘ W OBLATE WYKŁADY, WZBÓGACANE PRZEZ ŚPIWÓ I RECYTACJĘ PRACOWNIKÓW „PERMEDIA”, I TAK POWSTAŁA „LĄTARNIA”.

BYŁA CZŁOWIEKIEM NIEZŁOJNEGO CHARAKTERU I O NIEPRZEJEDNANEJ POSTAWIE. JEDELI COŚ POSTANÓWIŁA, DĄŻYŁA DO TEGO Z CŁMĄ KONSEKWENCJĄ... PANI BASIA ROZBUDZIŁA W ZESPOLE PRACOWNIKÓW ZAPALĘ DO TWÓRZENIA.

TWIERDZIŁA, ŻE W KAŻDYM Z NĄS TKWI NIEZISZCZONY, NIEZREALIZOWANY TALENT AKTORCKI...

W LIPCU 1958 ROKU, CZŁONKOWIE „LĄTARNI” WYRUSZYLI NA PIERWSZĄ, PLANOWANĄ OD KILKU MIESIĘCY, WĘDRÓWKĘ PO RÓDZCZU. REPERTUAR SKŁADAŁ SIĘ Z CZTERECH OBRAZÓW HISTORYCZNYCH.

W IMIENIU SPŁECZNOŚCI NASZEJ WSI, PROSIMY O POWTÓRNE ZAGRANIE FRAGMENTU O POWSTANIU WARSZAWSKIM.

PO RAZ PIĄTY?

LĄTĄ 1960-1971 TO CZAS, GDY SZCZEGÓLNA UWAGĘ SKUPIŁA BARBARA NA TROSCIE O WYCHOWANIE DZIECI I MŁODZIEŻY. POWSTAŁA WÓWCZĄS GRUPA TEATRALNA „MĄBĄ LĄTARNIA”, W KTÓREJ SKŁAD WCHÓDZIŁY DZIECI Z ULICY LUBARTOWSKIEJ.

KOLEJNE ZAŁOŻONE GRUPY: „SEMAFÓREK”, „PIERWSZY TEATR PODGÓRZIE”, „RADAR”, „ZIÓŁKO”.

BARBARA KOTERWAS UNĄŻDZA, ŻE „NĄLEŻY IŚĆ DO LUDZI Z PŁEKNYM SĄCOWEM; PRZEZ TEATR WYCHÓWYWAĆ, UCZYĆ” I TEN CEL KONSEKWENTNIE WPROWADZAŁA W ŻYCIĘ.

POTRAFIŁA WĘDĄPRACOWAĆ ZARÓWNO Z DZIECIŁMI CZY MŁODZIEŻĄ, JĄZ I Z DORÓSZYMI.

ZMĄRŁA 20 GRUDNIA 1983 ROKU.

ODDANA BEZ RESZTY TYM, KTÓRZY BYLI W POTRZEBIŁE. DZIS PÓDOSTAŁA WE WSPOMNIENIACH Z ZAPISANĄ PROBNIM DRUKIEM KARTĄ DÓDRA SWOJEGO ŻYCIĄ.

W KAŻDYM CZŁOWIEKU, BEZ WZGLĘDU NA NIEK CZY WRAZLIWOŚĆ ARTYSTYCZNĄ, POTRAFIŁA DOSTRZEĆ NIEZREALIZOWANY TALENT AKTORCKI I WYDÓBYĆ GO.



Zrób to sam:

Nie potrzebujesz niczego. Potrzebujesz jedynie pasji i chęci podążania w jej kierunku.

Barbara Koterwas (1912-1983) DZIAŁACZKA KULTURALNA I OŚWIATOWA. PODCZAS WOJNY BYŁA SANITARIUSZKĄ I ŁĄCZNICZKĄ W ARMII KRAJOWEJ, GDZIE PROWADZIŁA RÓWNIŁEŻ SZKOLENIA. ZAŁOŻYŁA DRUŻYNĘ HARCERSKĄ, GDZIE UCZYŁA PIERWSZEJ POMOCY ORAZ STWORZYŁA HARCERSKI TEATR „NĄ JASKÓŁCE” W LATACH 50. ZAŁOŻYŁA AMATORSKI TEATR „LĄTARNIA”

WINO DOJRZEWA POWOLI

Różne mamy wspomnienia o nauczycielach i wychowawcach. Czasami może traumatyczne, ale chyba w większości coś im zawdzięczamy. Często dopiero po latach potrafimy dostrzec, co to było, gdyż jak to powtarzał ojciec Jan Góra, dominikanin: wino dojrzewa powoli. Myślał o procesie dojrzewania młodych ludzi, z którymi miał do czynienia przez całe swoje życie. Najpierw jako duszpasterz młodzieży szkół średnich – wtedy się poznaliśmy już prawie 40 lat temu – a potem jako duszpasterz akademicki w Poznaniu.

Dużo dla mnie osobiście spotkanie z nim znaczyło. Mógłbym pisać o tym wiele. Chcę tutaj podzielić się kilkoma jego myślami o autentyczności, skierowanymi do młodej Uli, w literackich listach napisanych do niej. „Stwierdzenia «bądź sobą», «bądź istotą autentyczną» nabrały charakteru podstawowego nakazu moralnego... Jak to rozumieć? O co tu chodzi? Tylko człowiek odznacza się tą właściwością, że może zajmować jakiś stosunek względem samego siebie. Zwierzę ma stosunek do potomstwa, do otaczającego świata, ale w zwierzęciu nie ma refleksji na swój temat. Postulat «bądź sobą» sugeruje, aby człowiek zajął jakiś określony stosunek do samego siebie. Nazywamy go zazwyczaj stosunkiem autentyzmu...»

Stragan współczesnej myśli to już nie niedogłębiony bazar, ale prawdziwy wolny rynek. Tutaj pojawia się cała paleta odpowiedzi i rozwiązań. Niektórzy ten wewnętrzny rdzeń człowieka nazywają wolnością. A zatem «bądź sobą» znaczyło «nie uciekaj, ale zgódź się na

swoją pustkę i zaakceptuj ją». Jedni mówią, że człowiek jest dążeniem do panowania, że rdzeniem człowieka jest wola mocy, a zatem bycie autentycznym znaczyło «panuj nad sobą, panuj nad otoczeniem». Jeszcze inni podpowiadają, że najgłębszym ludzkim «ja» jest popęd seksualny, a bycie autentycznym znaczyłoby działanie zgodne z inspiracją popędu. Dla niektórych pojęcie to oznacza, że trzeba przestać wstydić się samego siebie.

Kochana Ulko! Nie dajmy się zwariować. Trzeba wiedzieć i pamiętać, że człowiek jest rozumną naturą, więc bycie autentycznym oznacza posługiwanie się we wszystkim rozumem tak, jak wyznacza to moja natura. Rozum jest umiłowaniem dzieckiem Pana Boga... Autentyzmu nie ma, jeśli człowiek podąża za modą, wciela się w nie swoje kostiumy i podporządkowuje się «obowiązującemu» duchowi czasu. Człowiek nie jest autentyczny wtedy, kiedy swoim życiem ilustruje jakąś generalną ideę czy doktrynę, kiedy staje się wcieleniem jakiegoś generalnego pojęcia. Autentyzm jest wtedy, kiedy coś wypływa z ludzkiej indywidualności i niepowtarzalności. W tłumie autentyzm się zatracza...

Chorobą twojego pokolenia jest wstyd, a nawet paniczny lęk wobec rówieśników, i równoczesne lekceważenie autorytetów rodziców, nauczycieli, katechetów, starszych. Pół poślodka może dziewczęciu wystawać spod podartych dżinsów, ale wszystko jest OK, bo rówieśnicy są zachwyceni. Starszych lekceważą, ale nie wytrzymują krytyki rówieśników. Czy pamiętasz Karolinę, która była tak wyzwolona i auten-

tyczna, że podeptała każdego staruszka i zakrzyzczała wszystkich? Udawała wyzwoloną i autentyczną, a w gruncie rzeczy była to jedynie wielka błagalna modlitwa o akceptację ze strony rówieśników...»

Jan Góra mówi to w odpowiedzi na pytania, listy młodych, lecz dodaje równocześnie, jak rozumie pozytywne znaczenie autentyczności:

„Autentyzm to odsłanianie się ludzkiej indywidualnej głębi, ludzkiego «ja», które osiąga człowiek w kontemplacji poprzez wyzwalanie się od obsesji samego siebie. Wolność od obsesji samego siebie jest rodzajem wierności sobie. Aby to uzyskać, trzeba poddać się wartościom. Im wyższe będą te wartości, tym większe będzie poczucie siebie i głębszy autentyzm...»

Uważaj dziecko, nie każda spontaniczność jest autentyczna...»

Pijkowi zawsze się wydaje, że jest autentyczny, zabawny i dowcipny. Tymczasem nic z zewnątrz, żadna używka czy inny środek, nie sprawi, że staniesz się autentyczny. Tyle autentyzmu wydrapiemy dla siebie, ile zainwestujemy w służbę i wierność wartościom...»

Człowiek, który stawia nam wymagania co do sposobu życia i co do relacji do innych jest prawdziwym wychowawcą. Potrzebujemy dziś świadków, którzy nie tyle słowem, ile swoim autentycznym życiem pokazują nam kierunek i ucą, jak być szczęśliwym. Jak widzieć sens i cel w życiu. Wino dojrzewa powoli, nie nie da się przyspieszyć. Bo wtedy zostaje tylko zatruty napój, i musimy z bólem serca go wylać i dostrzec, że jest bezużyteczny. Poszukujemy takich ludzi, którzy nam pokażą drogę, zechcą z nami iść kawałek razem, ale też potrafią nas pozostawić w pewnym momencie, abyśmy dojrzewali. A to proces na całe życie.

Tomasz Dostatni OP



HISTORIA MÓWIONA

Od szkoły dzielił mnie niecały kilometr drogi, 15 minut. [Szkoła] był to długi, parterowy budynek z kilkunastoma salami. Drewniana podłoga nasączona była czarną ropą, chodziło się w obuwii, którego gumowe zółki „puchły” pod wpływem tejże ropy. W kątach stały węglowe piece, które zimną ogrzewały klasy. Rozbieraliśmy się z wierzchnich ubrań, wieszając je na stojakach znajdujących się w pomieszczeniach. Dzisiejsze stoliki i krzesła zastępowały nam ławki – spadzisty pulpit na stałe połączony był z siedzeniem. Na środku ławki wydrążony był otwór na szklany kałamarz, do którego dyżurni wlewali atrament. Pisało się obsadkami ze stalówką, którą często trzeba było zmieniać. Klepsy nie należały do rzadkości. Koniec lekcji oraz jej początek obwieszczał woźny ręcznym dzwonkiem.

Klasa liczyła ok. 20–25 uczniów. Oprócz Polaków uczęszczali także Żydzi. Z mojej klasy pamiętam Fajgę Tirzblat, z którą siedziałam w jednej ławce. Dzięki niej dość dobrze dawałam sobie radę z językiem niemieckim, obowiązującym wówczas w szkole jako język obcy.

Anna Wiącek, ur. 1919

Nauka w chederze wymagała tylko pamięci. Całe strony modlitw na pamięć, całe strony chameszu – a tu przybył ten przyrząd – pióro i kałamarz, oraz nauka trzymania strasznego pióra w rączce. W pierw-

szych dniach mój zeszyt wyglądał jak zbiór malowideł Picassa. Każda napisana litera – kleks, każda stronica – obraz i to trwało bardzo długo, aż do opanowania nabierania atramentu na stalówkę.

Przedmioty obowiązujące w pierwszej klasie to: język żydowski, język polski i rachunki. Język żydowski? Nie pojmowałem, czego tu można się uczyć. Przecież mówię tym językiem jak tata, mama, babka. Ale okazało się, że rudy nauczyciel do języka żydowskiego, udowodnił nam, że mówimy jak sroki, a nie jak ludzie. Na każde nasze słowo miał swoje słowo, prawdziwe, ładnie brzmiące i tak na każdej lekcji poprawialiśmy nasz język – ale tylko w zeszycie. Pytałem rodziców, czy są dwa języki żydowskie? Ojciec śmiał się i rzekł, że są trzy języki. Jeden, to ten, którym my mówimy tutaj w Lublinie, w Lubelskim. Drugi język, jaki uczy was nauczyciel, to jest język „litwaków”. Niby taki „dojczmerisz”, a trzeci język jest święty – to ten, co się uczysz w chederze, ale nikt go nie rozumie. Dodał, że są ludzie, którzy mówią i rozumieją ten trzeci język – hebrajski. Język do codziennego użytku, ale nie dla nas. Wiele z tego nie rozumiałem, ale udawałem przed ojcem że rozumiem. A miałem zaledwie ósmy roczek.

Marian Milsztajn, ur. 1919

Jeśli chodzi o szkołę, to należę do tych osób, które mają bardzo dobre wspomnienia szkolne. To była naprawdę świetna szkoła. Tam były takie osoby na przykład jak pani Chalubińska, która była wnuczką słynnego zakopiańskiego doktora, Chalubińskiego. Była pani Pliszczyńska, która potem była profesorem na uniwersytecie, uczennicą profesora Zielińskiego. Fizyki uczyła pani Woszczerowicz, która była siostrą Jacka Woszczerowicza. To byli ludzie ogromnie oddani. Ci profesorowie rzeczywiście swój czas oddawali uczniom. Nie biegali na żadne inne należały i do innych szkół. Myślę, że oni byli także stosunkowo przyzwoicie opłacani. I to jest bardzo ważny element. Dzisiaj nauczyciele naprawdę bardzo źle zarabiają. Ja pamiętam te moje nauczycielki, które były zawsze bardzo ładnie ubrane. To jest taki element trochę widowiskowy. Oczywiście nie o to idzie, ale to dowodziło jakiejś klasy i poziomu oświaty. Poza tym duch, jaki panował w szkole, był bardzo piękny. Bo z jednej strony, uczono pewnej dyscypliny, ale ona nigdy nie była wyrażana w jakiś drastyczny sposób. Prawdę mówiąc, ten kto przychodził do gimnazjum, jak gdyby z góry miał takie zobowiązanie, że ma się zachowywać jak należy. Jeżeli nie był dostatecznie przygotowany do tego w domu, to mógł się tego nauczyć w szkole, obserwując dorosłych, obserwując także innych kolegów. Mieliśmy bardzo różny status społeczny. Miałam koleżankę, która była córką prezydenta miasta, a równocześnie miałam koleżankę, której matka była dozorczynią w jakiejś kamienicy. Ale tych

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

518

Poezja jest dla ludzi, jest wolnością słów, jest słowem właściwie użytym – warto przy niej obstawać. Zwłaszcza dziś, w świecie słów na posyłki, słów udręczonych i oglupiałych, warto słuchać wierszy, warto wsłuchiwać się w ich słowa: wolne, odważne, brzmiące mocno i czysto, konieczne – jak oddech.

Paweł Próchniak

Zbigniew Herbert

Pan od przyrody

Nie mogę przypomnieć sobie jego twarzy

stawał wysoko nade mną
na długich rozstawionych nogach
widziałem
złoty łańcuszek
popielaty surdut
i chudą szyję
do której przyspilony
był nieżywy krawat

on pierwszy pokazał nam
nogę zdechłej żaby
która dotykana igłą
gwałtownie się kurczy

on nas wprowadził
przez złoty binokular
w intymne życie
naszego pradziadka
pantofelka

on przyniósł
ciemne ziarno
i powiedział: sporysz

z jego namowy
w dziesiątym roku życia
zostałem ojcem
gdy po napiętych oczekiwaniu
z kasztana zanurzonego w wodzie
ukazał się żółty kielek
i wszystko rozpiewało się
wokolo

w drugim roku wojny
zabili pana od przyrody
łobuzy od historii

jeśli poszedł do nieba –

może chodzi teraz
na długich promieniach
odzianych w szare pończochy
z ogromną siatką
i zieloną skrzynką
wesoło dyndająca z tyłu

ale jeśli nie poszedł do góry –

kiedy na leśnej ścieżce
spotykam żuka który gramoli się
na kopiec piasku
podchodzi
szastam nogami
i mówię:
– dzień dobry panie profesorze
pozwoli pan że mu pomogę –

przenoszę go delikatnie
i długo za nim patrzę
aż ginie
w ciemnym pokoju profesorskim
na końcu korytarza liści

Przedruk za: Zbigniew Herbert, *Wiersze zebrane*, opracowanie edytorskie Ryszard Krynicki, Wydawnictwo a5, Kraków 2008, s. 93–94.

Przez cały rok 2018 w rubryce *Słowa są wolne* publikowaliśmy wiersze należące do rozległej konstelacji poetyckiej twórczyń tworzonej przez poetów pokolenia niepodległości – pokolenia, które swoją poezją kształtowało i zagospodarowało niepodległość Polski odzyskaną w roku 1918. W rozmowę wierszy poetów tamtego pokolenia wciąż warto się wsłuchiwać – wciąż jest żywa i na wiele sposobów aktualna, dlatego większy fragment twórczyń przez te wiersze konstelacji został zaprezentowany w książce, która ukazała się nakładem Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN” i nosi tytuł *Słowa są wolne. 44 wiersze poetów pokolenia niepodległości*. Zbigniew Herbert – podobnie jak inni poeci jego pokolenia, urodzeni tuż po roku 1918 i dorastający w wolnej Polsce – pamiętał czym jest niepodległość i na czym polega siła wolnego słowa, wiedział też, że niepodległe istnienie pozostaje wyzwaniem, że wymaga zaangażowania i wysiłku, że wciąż na nowo trzeba o nie walczyć. Pamiętał również, że „poezja córka jest pamięci”, że nie tylko wybiega w przyszłość, sięga poza granice wyobraźni, dotyka niemożliwego, ale też – w odruchu pamięci, w poczuciu zobowiązania – „stoi na straży ciał w pustkowi”, a „szeslesty wierszy” tyle są warte, „ile jest w nich oddechu tamtych”. Ten żywy oddech umarłych jest – nie tylko u Herberta i poetów jego pokolenia – oddechem poezji i także dlatego warto wsłuchiwać się w wiersze, warto przy nich obstawać. (p)



WYDAWCA
Ośrodek „Brama Grodzka
– Teatr NN”

POMYSŁODAWCA,
KOORDYNATOR PROJEKTU
Tomasz Pietrasiewicz

REDAKTOR PROWADZĄCY
Małgorzata Domagała

REDAKCJA
Marcin Fedorowicz,
Grzegorz Jędrak, Łukasz
Kijek, Maciej Palka,
Maciej Tuora, Wioletta
Wejman, Joanna Zętar

STAŁA WSPÓŁPRACA
Tomasz Dostatni OP, Paweł
Próchniak, Małgorzata

INSTYTUCJA
KULTURY
MIASTA LUBLIN

Michalska-Nakonieczna,
Marzena Galecka
AGNIEKA WYDAWNICZA
Opięaska Wiśniewska

KOREKTA
Teresa Markowska

LAYOUT
Małgorzata Rybicka

SKŁAD
Monika Tarajko

lublin
MIASTO INSPIRACJI

DYSTRYBUCJA
Magdalena Krasuska

DRUK
Petit S.K. Lublin

NAKLAD
3000 egzemplarzy

Gazeta dostępna również
na stronie internetowej
teatrnn.pl/para

KONTAKT Z REDAKCJĄ
e-mail: pa.ra@tnn.lublin.pl
ul. Grodzka 21,
20-112 Lublin,
tel.: 81 532 58 67

Ludmira Bendik, ur. 1927

Wybrała Wioletta Wejman